Nr. 24. Kraków, dnia 15 Grudnia 1897. Rocznik II.

Adres Redakcyi i Administracyi:
ulica Floryańska L. 55,
I. piętro.

Wszelkie
Listy i przesyłki pieniężne
adresować należy do
Redakcyi lub Administracyi
ulica Floryańska L. 55,
I. piętro.

Rękopisów nie zwraca się.

Listów nieopłaconych nie
przyjmuje się.

Listy reklamacyjne
nieopieczętowane
nie podlegają opłacie
pocztowej.



Prenumerata wynosi:
W Krakowie:
(bez odsyłki)
rocznie . . . . 1 złr. 20 c
półrocznie . . — „ 60 „
kwartalnie . . — „ 30 „
W Austryi:
rocznie . . . . 1 złr. 40 ct.
półrocznie . . — „ 70 „
kwartalnie . . — „ 35 „
W Niemczech:
rocznie . . . . . 3 marki.
We Francyi:
rocznie . . . . 5 franków

Numer pojedynczy 5 ct.

Do nabycia w Krakowie w Biurze dzienników Plac Maryacki L. 2

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Po dwóch latach.

Mijają dwa lata od chwili, kiedyśmy po raz pierwszy wzięli pióro do ręki, aby skreślić obraz doli kolejarzy galicyjskich, kiedyśmy wyrzekli pierwsze słowo w obronie ich praw społecznych, praw ludzkich. Dwa lata ciężkiej, żmudnej pracy, dwa lata wędrówki ciągłej, wytrwałej po zasłanem cierniami polu... I zaprawdę, gdyby nie ów, jasny, wielki cel, przyświecający nam zdala, gdyby nie owa potężna, wzniosła idea oswobodzenia proletaryatu kolejowego, która tchnęła z każdego naszego kroku, możeby nas były przeciwności i zawody, których nam nie szczędziły te dwa pierwsze lata walki, wstrzymały w drodze. Bo istotnie wielkie były trudności, stojące naprzeciwko budzącemu się do życia pismu, szalone wprost wysiłki, skierowane przeciwko jego istnieniu i rozwojowi.

Mieliśmy przeciwko sobie odrazu dobrze i silnie zorganizowaną przemoc, opartą na kapitale, terorze i korupcyi, a sami musieliśmy dopiero zdobywać podporę, straż za strażą, twierdzę za twierdzą, musieliśmy przebijać nienaruszone dotąd ciemności, obalać silne starością przesądy i uprzedzenia i tak krok za krokiem posuwać się naprzód, wciąż naprzód, a coraz głębiej... Była to praca, z samych początków zwłaszcza, iście syzyfowa, praca karczowania dziewiczych lasów. Był to trud, jak się zdawało, nie na ludzkie siły, a przytem rosnący z każdą chwilą, potężniejący, omal że niepokonany..

A mimo to myśmy nie upadli: przebyliśmy dwa lata, z pewnością najcięższe, i obecnie z sercem, pełnem nadziei, z czołem podniesionem, śmiało stajemy u wrót roku trzeciego.

Czyż więc jesteśmy naprawdę czem innem, jak tylko ludźmi? Czy było możliwem, abyśmy się tego nadludzkiego trudu podjęli i przeprowadzili to, co się wydało nieprawdopodobnem? Czy istnieje taka potęga, którąby mogła biednemu robotniczemu pismu dać moc pokonania najsroższych przeciwności, która utrzymała w niem życie i energię w chwili, kiedy tyle innych pism, zasilanych hojnie trzosem bogaczy, upadało i ginęło bezpowrotnie?... Ta siła niezwykła, która nami kierowała przez dwa lata naszego istnienia, która i dziś daje nam silną wiarę w zwycięską przyszłość — to Wasze poparcie, Towarzysze i Czytelnicy, to Wasze zaufanie, Wasza solidarność z naszemi hasłami, Wasza gotowość do walki w tych haseł obronie. I oto dlaczego nasz „Kuryer Kolejowy" żyje i rozwija się, podczas kiedy tyle rozmaitych pism kolejowych w tym samym czasie daremnie starało się uzyskać trwałe podstawy.

Myśmy zwrócili się do Was i znaleźliśmy oddźwięk w Waszych sercach, bośmy Waszemi przemawiali słowami, Waszemi łzami płakali, Waszym głosem domagali się sprawiedliwości! Z pośród Was wyrośliśmy i jesteśmy tylko cząstką Waszych uczuć i myśli. Tamci tem być nie mogli, bo byli ludźmi Wam obcymi, nie znali i nie czuli Waszych bolów, Waszym językiem nie potrafili przemawiać. Upadł więc krakowski „Kolejarz" i „Nowy Kolejarz" i lwowski „Kolejarz" i jeszcze inne, a „Kuryer Kolejowy" wzrastał w siłę, wychodząc sam jeden cało z tej walki o byt, o życie...

Tak, zaprawdę, to zorganizowany proletaryat kolejowy podniósł na swych barkach jedyne prawdziwe pismo swoje, jedynego obrońcę swoich krzywd i niesprawiedliwości. Kolejarze zrozumieli, że pismo zawodowe, pismo, którego łamy są zawsze otwarte dla ich skarg i żądań, jest najlepszym, jest jedynym środkiem skutecznej obrony przeciwko gwałtom i nadużyciom ze strony władz kolejowych. Zrozumieli oni, że tylko ostra, bezwzględna krytyka każdego bezprawnego postępku, tylko baczna, surowa kontrola wszystkiego, co od władz pochodzi, może ich ustrzedz przed wybrykami przełożonych, przed zamachami wyższych władz na ich prawa. To też było zawsze celem i zadaniem „Kuryera Kolejowego", a fakt, że kolejarze zrozumieli korzyści takiego postępowania, że zrozumieli ogromne znaczenie publicznego piętnowania wszystkiego i wszystkich, co na to zasłużyli, stał się silną, trwałą podwaliną „Kuryera" i nadał jego walce potęgę wielkiego boju o wielką sprawę, boju, który musi zakończyć się zwycięzko.

Dwa lata przeszły, a myśmy najcięższe gromy wytrzymali, ani na krok jeden nie ruszając się z zajętego stanowiska. I kiedy wreszcie, po długiej walce, zdobyliśmy sobie byli grunt trwały i żyzny, kiedy nasze hasła i idee zapuściły weń głęboko korzenie, kiedyśmy mianowicie mieli piękną i silną organizacyę, która była bezsprzecznie najpewniejszą podporą naszego pisma, wówczas zbrodnicza brutalna dłoń b. ministra zwaliła tę wspaniałą budowę, rozsypała w gruzy dzieło tylu lat i tylu trudów. Zdawało się wówczas, że ten zdradziecki cios obezwładni nas zupełnie, że ulegniemy przemocy, zdawało się, że nasz „Kuryer" straci grunt pod nogami i że przynajmniej na pewien czas będzie musiał usunąć się z pola walki wobec przeciwnika, nie przebierającego w środkach walczenia...

Ale w tej ciężkiej chwili zwróciliśmy się znowu do Was, towarzysze, Wam przedłożyliśmy do rozstrzygnięcia, czy ma dalej istnieć Wasze pismo, a równocześnie wezwaliśmy Was ponownie do pracy. I wówczas Wyście znowu okazali, że możemy na Was liczyć w potrzebie; wówczas Wyście jednem, silnem postanowieniem zawyrokowali, że nie dacie upaść pismu, które tem bardziej stało się Wam drogiem, że po rozwiązaniu organizacyi było jedynym węzłem, łączącym Was w jedną wielką grupę, skupiającym w jedno ognisko Wasze myśli i pragnienia. Powiedzieliście wówczas sobie i całemu światu, że p. Gutenberg chybił celu: chciał Was trafić w samo serce, a zdołał zaledwie przebić odzież i zadrasnąć ciało.

Upadek organizacyi stał się dla Was podnietą do dalszej pracy, a my, gotowi zawsze na Wasze usługi, widząc w Was niewygasłą chęć do walki, postanowiliśmy nadal piórem i słowem prowadzić Was po ciernistej drodze do upragnionego celu. Walka nasza od tego czasu stała się jeszcze ostrzejszą, jeszcze gwałtowniejszą, a liczne konfiskaty, spadające raz w raz na naszego „Kuryera" nie zdołały nas odstraszyć bynajmniej. Wszak wiedzieliśmy, że cokolwiek napiszemy, odbije się tysiącznem echem w Waszych piersiach, znajdzie silny oddźwięk w sercu każdego kolejarza. I to było dla nas dostateczną podnietą...

Dziś wysyłamy Wam ostatni numer przed świętami, ostatni z drugiego roku naszego istnienia. Niechajże on Wam przypomni, że za dni niewiele musi ukazać się pierwszy numer roku trzeciego: niechaj on Wam będzie wskazówką, nie, że skończył się pewien okres pracy, którym możemy być zadowoleni, ale że zaczyna się nowa robota, nowe działanie, które wymaga od Was znowu ciągłej pomocy, ciągłego poparcia, ciągłej ofiarności. Nie zapominajcie, że nam nie wolno ustać w połowie drogi, a tem mniej na

MAŁY TRĘBACZ.

SZKIC.

Nędza mieści się zupełnie inaczej na wsi, a inaczej w wielkiem mieście. Tam na samym końcu, w małych domkach, a raczej nędznych chatkach, mieszkają najniżsi i najubożsi wieśniacy. Natomiast w wielkiem mieście nędza i rozpacz usadowia się nie w niskich, zapadłych lepiankach, czarnych od dymu, pokrytych zgniłą słomą, ale w wysokich, trzy- lub cztero-piętrowych kamienicach, o znacznym obszarze, z wielką ilością okien; prawda, że mimoto nie lepiej jest w ich wnętrzu, niż w jaskiniach wiejskich, choć z zewnątrz wydaje się wszystko ładniej... Nędza wielkomiejska ma właśnie tylko inny pozór...

Przez dłuższy czas mieszkałem w wielkiem mieście, w takiej właśnie siedzibie nędzy; po wszystkich piętrach błąkała się bieda, a kiedy we dnie wcisnął się przez otwarte okno czasem błyszczący promień słońca, to przesuwał się po gołych, wilgotnych ścianach. Tylko z wieczora, po całodziennej pracy, ostatnie promienie słoneczne oświecały pobrużdżone troską twarze, które z okien spoglądały na szeroką, pełną kurzu ulicę, gdzie gromada dzieci tarzała się w prochu, uganiając wesoło i hałaśliwie.

Jaka to miła była ta twarzyczka małego chłopczyka w krótkim, zamkniętym surduciku! Duże, czarne oczy błyszczały ogniem wesela, a przyrumienione nieco policzki wydymały się przy dęciu w blaszaną trąbkę, którą chłopczyna trzymał właśnie przy ustach. Na jej dźwięk zbiegła się dziatwa około małego herolda. Mała armia wojaków w papierowych czapkach, z kijami w ręku, maszerowała dumnie za czerwono-białą chorągwią z papieru, przy odgłosie blaszanej trąbki. Ileż tam było szczerej, lekkiej radości, ile okrzyków szczęścia i zachwytu!... Właśnie już zmierzch zapadł. Okna kamienicy zapełniły się twarzami ojców i matek, patrzących z góry na wesoły ludek. W jednem z okien drugiego piętra stała młoda, blada kobieta, z dziewczęcemi prawie rysami i bacznem okiem śledziła wszystkie ruchy hałaśliwej, małej armii: była to matka małego trębacza. Ileż przeróżnych uczuć przebijało się w wzroku biednej kobiety! Duma macierzyńska, radość, miłość!...

Wtem błędny promyk słoneczny przemknął po zapadłej, szczupłej twarzyczce kobiety i — w mgnieniu oka blask szczęścia zniknął z jej oczu, a radość ustąpiła cieniowi troski, który zaciemnił całe jej oblicze; mały trębacz zakaszlał właśnie tak głośno, że matka usłyszała.

„Adaś! Adaś!" — zawołała, wychylając się z okna. Dziecko obejrzało się na wszystkie strony i wreszcie spostrzegło matkę; ona skinęła na niego, wzywając go na górę, ale chłopiec nie posłuchał. I czemużby miał tak prędko wyrzec się swojej radości? Odwrócił kapryśnie główkę i zaczął się dalej bawić z małymi towarzyszami; długo jednakże nie trwała jego radość, gdyż matka ukazała się wnet na ulicy, aby zabrać synka do domu. Słowami pieszczoty starała się go skłonić do opuszczenia zabawy, — ale nadaremno. Wówczas wzięła dziecko na ręce i tuląc do łona i całując płaczącego chłopca, zniknęła z nim w bramie kamienicy...

Znikły promienie słoneczne i dziecięce uciechy. Szare, pochmurne niebo rozciągało się nad miastem jednolitym całunem. Zima rozpoczęła już rządy na dobre. Lód, osiadły na szybach w postaci kwiecistych wzorków, obwieszczał już obecność srogiego gościa, a gęste płaty śniegu, pędzone dzidzim wichrem, zapowiadały całą grozę rządów potężnego władcy. Biała ulica była zawsze pusta; rzadko ukazywało się na niej które z dzieci, co tak wesoło biegały po niej niedawno. Za to w kamienicy rozlegały się głośno głosy dziecięce. Ja przesiadywałem teraz często w domu i niejednokrotnie przeraźliwy dźwięk dziecięcych trąbek przerywał mi pracę. Ale pomimoto nie gniewałem się o to wcale; czyż bo i dziecko same nie musiało się wyrzec tylu uciech lata! I myślałem wówczas często, że przecież biedni stron południowych lepiej się mają od naszych, przynajmniej nie marzną tak często... — Od czasu do czasu widywałem także matkę mojego małego trębacza, owiniętą w swą szarą chustkę; wydawała mi się zawsze stroskaną i smutną...

Był dzień wilii Bożego Narodzenia, dzień „bożego drzewka", radosny czas świata dziecięcego, w którym każde serduszko bije żywiej i głośniej, którego błogi blask oświeca nawet zakątki nędzy. Posłałem trochę słodyczy dla mojego ulubieńca i właśnie przyszła do mnie jego matka, aby mi podziękować i prosić, bym sam poszedł się przyjrzeć uciesze malca. Wstąpiłem do ubogiej izdebki, świecącej biedą z każdego kąta; maszyna do szycia, stojąca tuż u okna, zdradzała stan właścicielki; na podłodze bawiło się dziecko, zajadając cukierki.

Na widok obcego gościa Adaś zmieszał się i ukrył za matką.

— „To ten dobry pan, który ci dzisiaj posłał cukierki" — uspakajała go matka, głaszcząc go po twarzy. „Idźże do niego i podziękuj mu!"

jej początku; nie zapomnijcie, że przed nami mnóstwo jeszcze pola niezoranego, mnóstwo gruntu niezasianego, że niema chwili, któraby nie nastręczała dużo sposobności do pracy na rzecz naszych celów, naszych ideałów. Pamiętajcie o tem, że, aby „Kuryer Kolejowy" mógł dalej przywodzić Wam w tej pracy, Wy musicie mieć o nim ciągłą pieczę, musicie go wspierać wszelkiemi siłami, mieć go nietylko — w chwili czytania — przed oczyma, ale w każdej dobie życia w sercu.

Z chwilą, kiedyście po rozwiązaniu organizacyi ślubowali popierać Wasze pismo i nie dopuścić do jego upadku, z tą chwilą wzięliście na siebie obowiązek utrzymania go na zawsze, obowiązek popierania go wszędzie i zawsze, gdzie i kiedy tylko macie do tego możność. Ta chwila była dla Was chwilą wielkiego, ciężkiego ślubu, ale danego po rozwadze, po obliczeniu sił, a więc danego poważnie, z pełną świadomością. Taki ślub obowiązuje każdego, kto ma honor i serce męskie w piersi..

Zbliżają się uroczyste święta Bożego Narodzenia; niejeden z Was będzie jeszcze podczas świąt czytał powyższe słowa i rozmyślał nad niemi. Pamiętajcie wówczas o owym wielkim dniu, w którym ujrzał światło dzienne Największy z ludzi; pamiętajcie o owym dniu, w którym obiegła cały świat radosna nowina o urodzeniu się Tego, który miał się stać jego Zbawicielem! I niechaj Wam przyjdzie na myśl całe życie Jezusa Chrystusa, który nie cofał się przed żadną zaporą, choćby najeżoną kolcami i cierniami, nie żałował krwi Swojej najserdeczniejszej, dał się spokojnie ukrzyżować — wszystko z miłości dla celu, dla ideału, który ukochał potęgą najszlachetniejszej duszy. Czy może być dla nas wspanialszy przykład niewzruszonej wytrwałości, czy może być godniejszy wzór najczystszego poświęcenia?... Zbawiciel świata wskazuje nam drogę, po której mamy kroczyć: On nawet życia nie wahał się złożyć w ofierze wyższym celom, które miał w sercu aż do ostatniej chwili, — a my, czybyśmy mieli cofać się w mniejszych sprawach, które nawet nie wymagają od nas tak wielkich ofiar? Czybyśmy nie mieli w sobie ani skry tej wielkiej duszy, która powinna nas przejmować swojem tchnieniem i kierować każdym naszym postępkiem? Mienimy się chrześcijanami, a nie bylibyśmy zdolni do naśladowania Chrystusa nawet w tem, co nam jest dostępnem?..

Bracia, Towarzysze! Niechaj Ten, którego narodzenie będziemy święcili, będzie naszym nauczycielem w codziennem życiu. Patrzmy na Niego, na Jego żywot — i uczmy się wytrwałości, uczmy się miłości dla ideałów, stałości w drodze do wytkniętych raz celów. Nie cofajcie się przed niczem, nie obawiajcie się niczego, nie bądźcie małodusznymi, a tylko z myślą o idei, która Wam powinna przyświecać, dążcie śmiało po drodze, która Was poprowadzi w obranym raz kierunku, bez względu na to, czy w tej wędrówce możecie sobie poranić stopy...

A wówczas będziecie mogli śmiało powiedzieć, żeście zrobili wszystko, co leżało w mocy ludzkiej. O wynik bądźcie spokojni!...

Guttenberg a Wittek.

Mamy nowego ministra kolei: Ritter von Wittek objął po Guttenbergu tekę, obciążoną zbrodniami poprzednika, ciężką od przekleństw kolejarzy, które w nią wsiąkły... Przyznać trzeba, że odwaga nie mała i tem tylko chyba można ją wytłómaczyć, że nowy minister, wziąwszy na siebie taki ciężar, podjął się również naprawić to, co jego poprzednik zepsuł, zobowiązał się usunąć zło, którego sprawcą był p. von Guttenberg. Inaczej trudno byłoby zrozumieć ryzykowną decyzyę nowego ministra, trudno byłoby pojąć odwagę człowieka, który obejmuje rządy — powiedzmy wprost po zbrodniarzu. P. von Wittek, jeśli chce zyskać inną sławę, niż ta, która zstąpiła do grobu wraz z jego poprzednikiem, ma drogę bardzo jasną i bardzo prostą: musi być zupełnie innym, niż Guttenberg, musi iść wprost w przeciwnym, niż tamten kierunku. Oto warunek, bez którego niemożliwą będzie wszelka skuteczna działalność nowego ministra, jeśli naturalnie on ją wogóle zamierza prowadzić...

Jeżeliby więc zapytano nas, czego żądamy od p. Witteka, to powiemy naprzód, że przed wszystkiem innem domagamy się od niego usunięcia niesprawiedliwości, naprawienia zbrodni p. Guttenberga. Praca to wprawdzie nietrudna, ale musi zabrać dużo czasu, jeżeli ma być dokładnie wykonaną.

Ritter von Guttenberg zamazał tak bardzo pole działania ministerstwa kolei żelaznych, że trzeba je będzie bardzo starannie oczyścić, aby nabyć choćby jasnego wyobrażenia o tem, co należy dalej robić. Rządy Guttenberga, to jedno pasmo bezprawi i nadużyć, to rządy kaprala, który nigdy o żadnych ustawach nie słyszał, a dla którego jedynem prawem, jedyną ustawą jest „befel" żołnierski. Kapralski ton i charakter b. ministra przeszedł tak bardzo do całej administracyi kolejowej, do wszystkich władz wyższych i niższych, że stał się dziś w sferze kolejnictwa rysem dominującym, charakteryzującym każdy prawie postępek władzy. Tam, gdzie powinien panować charakter pracy społecznej, tam, gdzie polityka społeczna państwa ma najpiękniejsze pole do rozwoju (jako na jedynem miejscu bezpośredniej gospodarki państwowej), — tam wprowadził Guttenberg system żołnierskiej karności, żołnierskiego „porządku" i żołnierskiej... głupoty. Dla człowieka o tak ciasnym poglądzie na sprawy, jak p. Guttenberg, nic dziwnego, że ideałem było kręcenie się wszystkiego, jak kółek w zegarku, a jedynym celem zaprowadzenie ścisłej hierarchii biurokratycznej. Ekonomiczne znaczenie państwa, gospodarka państwowa, ustawodawstwo socyalne to wszystko było dla niego pojęciem tak obcem, że nic dziwnego, powtarzamy, iż przez cały czas swoich rządów nie pokusił się nawet o wkroczenie na którykolwiek z owych kierunków. Można tu wprawdzie dziwić się, jak podobna jednostka, dobra może na ćwiczeniach wojskowych lub w kasarni, mogła stać w Austryi na czele najważniejszego może ministerstwa; ale to kwestya inna: wszak wiadomo, że niedoświadczenie, nie wiedza jest u nas listem polecającym na drogę do fotelu ministeryalnego...

Z tego tedy charakterystycznego rysu samego b. ministra wypływa także cała jego działalność: dlatego to w głupocie swojej i niewiedzy dopuścił się zbrodni największej, jaką mógł kiedykolwiek popełnić reprezentant jakiegokolwiek rządu. Podrażniony osobiście, wściekły z powodu stanowczego oporu ze strony tych, których uważał za ślepych wykonawców swoich rozkazów, rzucił się na organizacyę robotniczą, złamał ustawę, sprawiedliwość, uczciwość polityczną i osobistą i — zaspokoił osobistą zemstę. Dlatego to dalej na każdym kroku, przy każdej sposobności dawał poznać niższym od siebie swoją ministeryalną władzę; nie posiadając gładkości obyczajów, niezbędnej towarzyskiej cywilizacyi, używał tonu grubiańskiego, wyrazów gburowatych, co wszystko nie było dziwnem u człowieka, którego umysł i pojęcia zrosły się z kasarnianemi murami. Tej gburowatości, która znowu była przeważnie osobistą zemstą przeciwko najdzielniejszym naszym towarzyszom, byli i krakowscy kolejarze świadkami. Wówczas nie mogło się im w głowie pomieścić, jak taki człowiek mógł być ministrem; dziś, rozpatrując całą jego osobę i działalność, może prędzej zrozumieją, że ta gburowatość, ta zwykła żołnierska ordynarność była głęboko wkorzenioną w duszy Guttenberga...

Taki minister nie mógł odpowiedzieć godnie zadaniu, jakie włożyły na niego sprawowane przezeń funkcye. Toż rzecz zrozumiała, że p. von Guttenberg nie myślał nawet o poważnej pracy społecznej, a te niedołężne próby, te osławione „reformy Guttenberga", które od czasu do czasu miały, jak rakiety, zdumiewać publiczność, poznaliśmy już dokładnie w swoim czasie. Jedno wielkie zero — oto istotny wynik pracy p. Guttenberga. I nic dziwnego, że skoro tam, gdzie tyle było do reformowania, gdzie każda chwila, każdy zakątek wołał o naprawę, nic nie zrobiono, ani się starano zrobić, a jeszcze zatruło się wszystko niezdrowym duchem średniowiecznej karności, że wobec tego musiały nastąpić jakieś straszne skutki, jakaś „kara niebios"... I nastąpiły katastrofy jedna za drugą, wszystkie prawie krwawe, wszystkie pociągające za sobą śmierć i choroby tylu, tylu niewinnych kolejarzy, wszystkie wynikłe z zbrodniczej lekkomyślności i zaniedbania obowiązków przez p. ministra.

I z tych oto względów wszyscy bez wyjątku uczciwi kolejarze święcili z radością chwilę upadku ministra, który łączył w sobie cechy brutala-nieuka. Dziś z osoby Guttenberga ani śladu; na miejscu kapralskiego ministra zasiadł człowiek fachowy, o szerokiej wiedzy, wykształcony w kierunku ekonomiczno-społecznym, autor znanych dzieł na polu polityki społecznej i finansowej, p. von Wittek. Wyliczamy tu umyślnie wszystkie możliwe zalety nowego ministra, aby uwydatnić tem silniej różnice, jakie w każdym razie istnieją między osobami byłego i obecnego ministra kolei żelaznych i aby następnie tem lepiej zaznaczyć, czego możemy żądać od takiego człowieka, jakim jest p. Wittek. Bez wątpienia p. Wittek powinien naprzód — jak to powiedzieliśmy wyżej — zmazać zbrodnie Guttenberga. A więc, jeżeli ma choć iskrę uczciwości, powinien znieść owe tajemne ukazy b. ministra, które z pewnością istnieją, a które niedozwoliły robotnikom kolejowym założenia nowej organizacyi. Tego wymaga od p. Witteka nietylko uczciwość i sprawiedliwość, ale to nakazuje mu właśnie ta jego wiedza fachowa, którą nowy minister posiada. P. Wittek powinien, jako człowiek społecznie wykształcony, zrozumieć potężne znaczenie organizacyi i nie stawiać jej przeszkód, które ukuwał jego poprzednik. Zbrodnia stanu, „niebezpieczeństwo dla państwa", polegające na społecznie uprawnionych żądaniach poprawy bytu, nie powinny istnieć dla nowego ministra kolei. I to będzie pierwsze, co nam może dać rękojmię, że p. Wittek zamyśla inaczej postępować, niż Guttenberg.

A dopiero tak oczyściwszy niejako pole, p. Wittek będzie mógł zabrać się do pracy na polu prawdziwych reform społecznych. Można powiedzieć, że nikt może nie miał tak korzystnych warunków dla zdobycia sobie sławy reformatora, jak obecny minister kolei. Zda się, że ręką tylko sięgnąć, a imię reformatora uzyskane. Czyż może być coś łatwiejszego, jak wykonać to, co jest już przez wszystkich uznane za niezbędne? Cała opinia publiczna, o ile jest przy zdrowych zmysłach, wyrażająca się nawet w urzędowych okólnikach władz kolejowych, wskazuje p. Wittekowi reformy, które musi przeprowadzić. Czyż zresztą on, człowiek fachowy, potrzebuje tego, abyśmy mu powtórzyli raz jeszcze, co ma być najważniejszem jego zadaniem w tym kierunku? Czy mamy znowu powtarzać: pomnożyć personal, zniżyć czas służby, podwyższyć płacę, ulepszyć warunki techniczne ruchu?...

P. Wittek napisał dzieło fachowe, w którem z wielką znajomością rzeczy udowadnia, że pomimo nawet złej gospodarki rządu w kolejnictwie, koleje austryackie stoją finansowo wcale nieźle. Sądzimy, że zbytecznem byłoby przypominać mu jego własne wywody. Ale niechże p. Wittek pamięta, że z chwilą, kiedy autor doszedł do władzy wysnucia konsekwencyi z tego, co pisał, powinien nie cofać się przed temi konsekwencyami, a przeciwnie mieć odwagę do ich urzeczywistnienia. Dotychczasowi ministrowie wypowiadali nieraz zdanie, że nie ma z czego przeprowadzać daleko idących reform na kolejach austryackich, bo one nie przynoszą żadnych dochodów. P. Wittek dowiódł czego innego, a więc dla niego nie istnieje taka wymówka, nie istnieje wogóle pozór, dla którego nie miałby rozpocząć pożądanych reform.

Czy mimoto nowy minister zechce urzeczywistnić i swoje własne poglądy i słuszne żądania nasze i wszystkich, co sprawy kolejowe znają nieco lepiej? Oto pytanie, które każdy z nas zadaje sobie z pewnością od chwili objęcia rządów przez p. Witteka. Odpowiedź na nie dać stanowczą — to rzecz wprost niemożliwa. Wykazaliśmy, że p. Wittekowi nic nie stoi na zawadzie w drodze do reform, że przy dobrych chęciach będzie mógł, jeśli nie wszystko, to w każdym razie zrobić dużo dobrego. Czy skorzysta z tego stanowiska, to inna kwestya. Przykład w Austryi niestety nie rzadki, że ludzie fachowi, dostawszy się na fotel ministeryalny, zapominają rychło tego, co nie dawno sami pisali i głosili; ot choćby wziąć np. naszego „rodaka", p. Bilińskiego. Smutne doświadczenie zatem odbiera nam wiarę i nadzieję w fachowość i uczoność ministrów. I dlatego trudno nam dziś powiedzieć, czy p. von Wittek nie pójdzie w ślady dra Bilińskiego. Nie pozostaje nam dziś w istocie nic innego, jak zająć stanowisko wyczekujące. Zobaczymy, co będzie robił nowy minister, a sądzimy, że kwestya chyba wnet się wyjaśni. Dziś stosunki na kolei zaszły już tak daleko, że długo zwlekać z naprawą nie można, bo gmach grozi runięciem...

Dziecko podeszło kilka kroków, zawstydzone ogromnie i nie śmiało zbliżyć się zupełnie. Wziąłem je na ręce, zacząłem zabawiać i spytałem o trąbkę.

— „Połamała się" — odrzekła matka — „i cieszę się z tego bardzo, bo już za dużo hałasu robiła".

— „Tak, to dostaniesz inną, ładniejszą!" — przyrzekłem małemu, który też nabrał już do mnie większej ufności.

— „Konia chciałbym mieć także" — rzekł po chwilce.

— „Ależ Adasiu, zawalasz pana" — zawołała matka, widząc, jak mały już na dobre nożętami swojemi maszeruje po moich kolanach.

* * *

Od tego czasu byliśmy dobrymi przyjaciółmi; Adaś zachodził często do mnie, bawiąc się najchętniej w mojem towarzystwie. Ale nie miało to trwać długo. Kaszel w owym pięknym dniu letnim był pierwszym nieszczęsnym zwiastunem zbliżającej się choroby nędzy, a obecnie pożerało już ona ciało dziecięcia. Stan Adasia pogarszał się z dnia na dzień. Biedne, scborzałe chłopię nie opuszczało już teraz łóżka, a blade, zapadłe policzki okraszał coraz częściej niezdrowy rumieniec. Duże, czarne oczy błyszczały jeszcze czasem radością, kiedy patrzyły na nową trąbkę i biegunowego konika, którego biedny Adaś nigdy już nie miał dosiąść.

Kiedy nadeszła wiosna, zgasł płomień życia w dziecięciu, a jednego dnia dwoje ludzi wyniosło drewnianą trumienkę z małym trębaczem.

PRZEGLĄD.

Nędzna komedya odbywa się w Austryi od czasu upadku Badeniego. — Pisma burżuazyjne polskie i inne słowiańskie, z naszych przedewszystkiem stańczykowski „Czas" i „de-

mokratyczna" „Nowa Reforma", puściły w świat jeden z największych fałszów, jakie kiedykolwiek popełniły, ogłaszając hr. Badeniego bohaterem narodowym, walczącym w imię polskości i słowiańszczyzny przeciwko niemieckiej zachłanności i niemieckiemu szowinizmowi. Badeni stał się dla nich uosobieniem idei narodowościowej, stał się ofiarą zasad i uczuć patryotycznych, szermierzem w obronie zagrożonej w Austryi słowiańszczyzny. Stąd zdrajcą jest każdy, odstępcą, nie Polakiem, ktokolwiek odważył się występować przeciwko niemu w parlamencie i kto dziś ma odwagę drwić i szydzić z owacyj, urządzanych na cześć „naszego wielkiego męża stanu". A mimo to, pomimo gromów, jakie na nas zewsząd ciskają, my bez wahania oświadczamy, że tylko nikczemna obłuda i bezgraniczna głupota złożyły się na to podniesienie Badeniego na piedestał bohaterski, na to potępianie walki z nim, jako walki z patryotyzmem, walki ze wszystkiem, co polskie i słowiańskie. Któż to był Badeni, ów „szlachetny", „wielki" mąż stanu? Austryacki minister, człowiek, którego obowiązkiem było strzedz interesów państwa austryackiego, stać na straży całości monarchii. Czy można wogóle przypuścić, aby hr. Badeni miał jakie inne cele na owem stanowisku, jakieś cele polskie, narodowe, słowiańskie?... Nie ma chyba patryoty polskiego, któryby nie pragnął połączenia się kiedyś wszystkich części Polski w jedno państwo, któryby nie dążył zatem do oderwania Galicyi od Austryi, a wszakżeż hr. Badeni byłby wprost zdrajcą stanu, gdyby takie myśli przychodziły mu do głowy, jako austryackiemu prezydentowi ministrów. Hr. Badeniemu nie wolno było nawet mieć większego starania o jedną część monarchii, niż o drugą, nie można więc nawet mówić u niego o szczególnem uwzględnianiu interesów Galicyi, pominąwszy już, że i tak mnóstwo faktów świadczy o czemś wręcz przeciwnem... Ale nasi „patryoci" powiadają, że hr. Badeni chciał zapomocą rozporządzeń językowych naprawić krzywdę, która się dotąd działa słowiańskim narodom w Austryi, chciał słowiańszczyźnie zapewnić należny jej wpływ na sprawy państwa. Rozporządzenia językowe, ten najpodlejszy szwindel polityczny, tu przynęta, rzucona z konieczności młodoczechom dla ugłaskania ich srogości, te rozporządzenia językowe, które hr. Badeni gotów był cofnąć w każdej chwili, byle znowu ułagodzić Niemców, ten najniezręczniejszy krok prezydenta ministrów, który on sam pewnie przeklinał w każdej dobie życia — to ma być dowodem „słowianofilstwa" hr. Badeniego! Tak głoszą nasze pisma, piejąc hymny pochwalne na cześć człowieka, który w Galicyi miał dla ludu polskiego bagnety i kule żandarmskie, a każdy objaw szczerego, nie czarno-żółtego patryotyzmu, tłumił z okrucieństwem moskiewskiego czynownika! Ale jak zawsze, tak i w tym wypadku te górne frazesy patryotyczne naszych stańczyków i naszej znikczemniałej burżuazyi — to tylko płaszczyk, pod którym ukrywa się fałsz i głupota. Stańczycy, wielbiąc Badeniego jako patryotę-słowianina, popełniają fałsz świadomy, bo w istocie wielbią w nim tylko potomka szlacheckiego rodu, jednego z „swoich". Demokraci zaś z „Nowej Reformy" przedstawiają obraz litości godny, skorumpowanej głupoty: i tym razem dali się „wziąć na kawał" szlachcicom i dopomogli im tylko do uczczenia człowieka, który w rzeczywistości pogardza kołtuńskiem mieszczaństwem, jako ciałem niższem, pośledniejszem. Takie jest prawdziwe tło tych wszystkich owacyj, które zresztą — jak zobaczymy niżej — wypadły bardzo licho i marnie.

Owacye dla Badeniego w Krakowie miały w przeważnej części charakter wybryków ulicznych. Reżyserami tych burd ulicznych byli: Ehrenberg, niedawno spoliczkowany rzezimieszek i zidyociali przesiadywaniem po knajpach studenci uniwersytetu. Przyłączyli się do nich ogłupiali zupełnie majsterkowie z „Przyjaźni", rozpróżniaczona gawiedź uliczna i kilku „inteligentów" wątpliwej bardzo inteligencyi. Cała ta tłuszcza wyrabiała po ulicach hałasy, wiwatując na cześć hr. Badeniego i — Ehrenberga. Godne przedmioty owacyi dla tego rodzaju demonstrantów! We wtorek 7 b. m. był Badeni w Krakowie: więc kupa jego wielbicieli urządziła mu hałaśliwą owacyę przed hotelem Saskim, zaśpiewała mu „niech żyje", wysłuchała kilka ciepłych mówek i poszła do domu. Wieczorem „wspaniały" pochód z pochodniami, w pośród którego jechał w powozie b. prezydent ministrów z małżonką. Niestety zawsze „nielojalni" socyaliści rozerwali pochód, przepędzili cylindrowych paniczyków, a biedny przedmiot owacyj został niedelikatnie ugodzony pochodnią w głowę. Wielka demonstracya na cześć wielkiego bohatera przysporzyła mu tylko strachu i bolu...

Dalszym ciągiem tej owacyi, a zarazem głębsza niby manifestacyą na rzecz idei zbratania się słowiańskich ludów Austryi miał być wiec słowiański w Krakowie, który odbył się w niedzielę dnia 12 b. m. Wszystkie dzienniki krakowskie robiły temu wiecowi olbrzymią reklamę już od dłuższego czasu; wybitniejsi posłowie polscy, reprezentujący pewne kierunki polityczne, przybyli na wiec wraz z młodoczeskimi i słowiańskimi posłami, aby zamanifestować braterską zgodę całej słowiańszczyzny. Inicyatorami wiecu byli znowu — Ehrenberg i jego przyjaciele polityczni... Niestety cały wiec, który miał być czemś niesłychanie wielkiem, czemś, co cały świat miało zadziwić, okazał się małą, mizerną demonstracyjką, której właściwym celem można nazwać powiecowe bankiety i śniadanka. Dwa tysiące „ludzi" — podajemy cyfrę podług „Czasu" — do rzędu których należały dzieci w mundurkach gimnazyalnych, biedne sieroty z zakładu św. Józefa, kilka pań i panienek z czerwono-białemi kokardkami i tym podobni „politycy"...

Manifestacya robotnicza natomiast, urządzona w ten sam dzień, o tej samej godzinie, wypadła imponująco*). Piętnaście do dwudziestu tysięcy ludzi, dojrzałych robotników i robotnic, proletaryuszy, pracujących rękami i głową, zebrało się w tym dniu dla zamanifestowania wiecznie tych samych, podniosłych uczuć, których żadne kłamstwa, żadne zabiegi nie zdołały wypaczyć. Na manifestacyę przybyli dwaj czescy posłowie socyalno-demokratyczni, jako wysłańcy ludu czeskiego celem wyrażenia bratnich uczuć i solidarności czeskiego proletaryatu. O godz. $^{3}/_{4}$3 przybyli pożądani goście; wychodzących w towarzystwie kilkudziesięciu towarzyszy z peronu, powitały zebrane tłumy entuzyastycznemi okrzykami. Jak wielka, rosnąca z każdą chwilą lawina, tak pornszał się cały kilkunasto tysięczny tłum ulicą Basztową, Floryańską, Sienną na miejsce zgromadzenia. Zgromadzenie odbyło się właściwie pod gołem niebem: zebrany lud zapełnił szczelnie salę Schönberga i trzy zbiegające się tutaj rogi ulic. Przemawiali posłowie Daszyński, Cingr i Hybesch, protestując w imieniu zebranego ludu przeciwko nikczemnemu okłamywaniu opinii publicznej za pomocą obłudnych frazesów o patryotyzmie i słowiańszczyźnie. Wykazywali oni, że te manifestacye, urządzane przez Ehrenberga i jego pomocników, są manifestacyami garstki wyzyskiwaczy i zdzierców ludu, a nie świętem braterskiem ludów, jak to nam chcą wmówić. Czeski lud — jak zapewniali jego przedstawiciele — idzie zawsze z ludem polskim i nie da się otumanić krzykami młodoczeskich frazesowiczów.

Następnie imieniem ludu ruskiego przemawiał radykał Stefanyk, który w imieniu gnębionych przez szlachtę polską ruskich chłopów i robotników protestował przeciwko takiej słowiańszczyźnie, jaką reprezentuje Badeni, przeciwko słowiańszczyźnie knuta i gwałtów. Od młodzieży socyalno-demokratycznej przesyłał zebranym pozdrowienia akademik tow. Matejko. Zaznaczył on, że nie cała młodzież uniwersytecka stoi po stronie stańczyków. „My proletaryusze inteligentni uważamy za święty obowiązek iść z Wami i walczyć w pełnym szeregu z Wami i to Wam ślubujemy dzisiaj uroczyście." Po przemówieniach jeszcze tow. Regera i włościanina Rozpada, przewodniczący zamknął zgromadzenie, a zebrani wśród owacyjnych okrzyków i śpiewu hymnu robotniczego ruszyli ku miastu. Tu na rynku, w miejscu, gdzie miał stać pomnik Mickiewicza, przemówił raz jeszcze poseł Daszyński. Potem manifestanci rozeszli się do stowarzyszeń robotniczych, gdzie wieczorem odbywały się swobodne, huczne zabawy. W zabawach brali udział wszyscy posłowie i dopiero późno w nocy zakończyła się wspaniała uroczystość.

Lud krakowski okazał, po czyjej stoi stronie, jak rozumie braterstwo ludów, jak pojmuje istotną solidarność wszystkich narodów. Ci, którzy chcieli z niedzieli zrobić święto kłamstwa i obłudy, mogli wreszcie poznać, że nie potrafią nigdy sprostać ludowi, że wyglądają jak karły w obec tego olbrzyma, którego potęga jest niekłamaną. Dzień ten pamiętny należał w istocie do ludu krakowskiego, do świadomego polskiego ludu.

Strejk kolejarzy w Anglii. Oto jakie wiadomości nadchodzą z Londynu: w tutejszem biurze zarządu Zjednoczonego towarzystwa kolejarzy czyni się obecnie wszelkie przygotowania do ogólnego strejku. Ten obejmie ewentualnie całą Anglię, Walię i Szkocyę, a tylko Irlandyę nie, bo irlandscy kolejarze mają własny „narodowy program". W Wielkiej Brytanii (bez Irlandyi) jest blisko 200.000 funkcyonaryuszy kolejowych; z tych **93.000** są członkami wspomnianego stowarzyszenia, a zarząd tego stowarzyszenia sądzi, że strejk jego członków doprowadzi cały ruch kolejowy do zupełnego zastoju. Jednakowoż liczba członków Zjednoczonego towarzystwa kolejarzy wzrasta ciągle, jak to zresztą dzieje się zawsze, ilekroć ma strejk wybuchnąć; 150 i więcej kolejarzy zgłasza się co tydzień na członków stowarzyszenia. Jakkolwiek tedy zapał wśród kolejarzy istnieje, przecież zarząd stowarzyszenia stara się całą sprawę załatwić pokojowo. Z tego względu zarząd spisał dokładnie i umotywował żądania kolejarzy i przedłożył pismo urzędowi handlowemu, który ma przeprowadzić konferencyę ugodową między służbą kolejową a przedsiębiorstwami. W ten sposób nie może nikt zarzucić stowarzyszeniu, jakoby parło gwałtownie do strejku. Natomiast przedsiębiorstwa trzymają się jeszcze bardzo i oświadczają mianowicie, że nie uznają stowarzyszenia za reprezentacyę wszystkich kolejarzy i że każde przedsiębiorstwo będzie się tylko z swoimi funkcyonaryuszami układało. Ale i tego przyrzeczenia nie wypełniają w rzeczywistości, przeciwnie nawet wydalają tych, którzy wysłani są jako delegaci do prowadzenia z niemi układów. Podczas tych przedwstępnych starań pokojowych zarząd Zjednoczonego stowarzyszenia przygotowuje wszystko do strejku. W tym celu wydał już nawet 120.000 karteczek wypowiedzenia, które podpisuje każdy kolejarz, członek czy nieczłonek stowarzyszenia i odsyła następnie do zarządu. Zarząd rozdzieli kartki podług przedsiębiorstw i w razie potrzeby roześle je do każdego przedsiębiorstwa z osobna. Tymczasem przedsiębiorstwa kolejowe zabezpieczają się przed strejkiem w ten sposób, że zawarły układ, na mocy którego zobowiązują się popierać wzajemnie, jeśliby tylko przeciwko jednemu z nich lub kilku strejk był wymierzony. Jedna i druga strona zbroi się do walki. Bardzo być może, że walka ta wybuchnie, a w takim razie można zaufać rozsądkowi kolejarzy angielskich, że będą dostatecznie do niej przygotowani. Z drugiej strony jednakże urząd handlowy ma obowiązek starać się o rozpoczęcie układów pokojowych, a wówczas żądania funkcyonaryuszy będą musiały znaleźć uwzględnienie bez walki.

*) Dokładny opis tej manifestacyi, podało czasopismo „Naprzód" w osobnym dodatku do nr. 49, który się ukazał we wtorek dn. 14 b. m.

KORESPONDENCYE.

Nowy Sącz. (Przy zmianie ministra — w sprawie urlopów). Z chwilą zgruchotania żelaznej ręki pozbyliśmy się również sztywnego, wymyślającego nam robotnikom od ostatnich próżniaków, nieponiów itp. generała-ministra. Nie wspominalibyśmy wcale o tym człowieku, gdyby nie ta okoliczność, że jak to powiadają, „od głowy ryba śmierdzi"... To też pod generał-kapralską egidą aż duszna była z „ober"-karności rożnych kacyków kolejowych — a pod najwyższem chyba ciśnieniem tej miłej atmosfery znajdowali się robotnicy nowosądeccy.

Chcę tu poruszyć dziś tylko jednę stronę tej guttenbergowskiej dyscypliny, która nam się często dawała we znaki, a doprowadzała nieraz do komiczno-smutnych absurdów. Mówię o urlopach. Zaprowadzono tu w tej sprawie formalną spowiedź domowo-familijną, jaką proszący choćby o najkrótszy urlop, musiał ściśle wypełnić, jeśli chciał uzyskać uwzględnienie prośby. Zarząd naszych warsztatów wypytywał proszącego o najdrobniejsze szczegóły, które bynajmniej nie należały do jego kompetencyi. Przytem bardzo często po takiej spowiedzi, odprawiano człeka z niczem, każąc mu przyjść „jutro"...

Dla charakterystyki takich audyencyj o urlop, przytoczę tu taką rozmowę między panem inspektorem, a proszącym o urlop robotnikiem.

Robotnik prosi o urlop, przedstawiając, że ma chorą żonę i chciałby zawezwać rady czy pomocy w klinice krakowskiej. P. inspektor pyta: A cóż jej brakuje? Robotnik: (po pewnem wahaniu) wymienia chorobę. P. inspektor: Tak, ale czy to prawda? Odp.: P. inspektor będzie łaskaw zapytać się lekarza. P. inspektor: Ja się pana pytam, czy to prawda. Odp.: Ja mówię, że prawda, a jeżeli nie mam wiary, to proszę. — Pytający, widząc, że w swym zapale zaszedł za daleko, zaczyna z innej beczki i powiada: A dlaczegoś pan nie przyszedł pierwej prosić o urlop, niż o kartę? Odp: P. inspektor wybaczy, że w roztargnieniu minąłem się z przepisami, ale teraz właśnie proszę. P. inspektor: Teraz nie przyjmuję, przyjdź pan jutro.

Taką była spowiedź, i — pokuta. Do jakiej przez to dochodzi się demoralizacyi, wystarczy powiedzieć, że jednemu zachorowało prosię, jedyny dobytek, stanowiący cały zasób w czasie grasującej drożyzny. Otóż, aby je ratować i uzyskać urlop, był zmuszony powiedzieć, że żona mu nagle zasłabła!...

Dla tego też dla zapobieżenia tak wesołym scenom na przyszłość, jak również usunięcia owego ohydnego systemu oszczędnościowego, praktykowanego tak skrupulatnie przez niektóre jednostki w sprawie urlopów radzimy:

Ponieważ w „dienstpragmatyce" nie ma oznaczonej ilości urlopów dla funkcyonaryusza kolei, lecz o udzieleniu ich decyduje każdorazowo dany przełożony, przez co jak w wyżej przytoczonych wypadkach, musi się ścierać jedna strona z drugą; ponieważ pp. urzędnicy tejże kolei mają regulaminowo oznaczony czterotygodniowy urlop z dodatkiem dwóch ty-

godni, co według publicznego mniemania oddziaływa dodatnio na ich zdrowie i pracę, przeto z uwagi, że robotnicy i niżsi funkcyonaryusze kolei są daleko więcej narażeni na wpływy powietrza wszelkiego rodzaju, szkodzące w wysokim stopniu ich zdrowiu, uważamy za konieczne oznaczenie pewnego czasu urlopu, czy to dla załatwienia niezbędnych interesów własnych, czy też dla odetchnięcia po całorocznej uciążliwej pracy i zaczerpnięcia sił do dalszego jej wykonywania. Nie określamy bliżej tego czasu, bo zresztą znane są nasze żądania. W tym względzie spodziewamy się jednak, że wysokie zarządy kolei państwowej wezmą pod uwagę te nasze ze wszech miar uzasadnione życzenia i oznaczą nam pewną ilość dni w roku na urlopy. Wówczas przyrzekamy, że za przekroczenie ich będziemy się już chętnie spowiadali i bili w piersi przed naszymi przełożonymi...

Pod pręgierz.

Podgórze. (Skazany na śmierć głodową). Straszna to tragedya życia, którą tu chcemy roztoczyć, okropny los kolejarza, który w służbie straciwszy zdrowie, dziś ginie prawie, skazany na śmierć głodową. Przed dwoma laty, tj. 25 list. 1895 na stacyi Podgórze-Płaszów zostało przez wagony 2 robotników tak silnie zgniecionych, że jeden z nich zmarł tego samego dnia jeszcze, drugi zaś Franciszek Cefal, skutkiem nadludzkich starań żony, cudem uszedł śmierci, wyniósłszy z owego wypadku kilka złamanych żeber, silnie zgniecioną klatkę piersiową i nadwerężone płuca, stracił na zawsze zdrowie i pozostał do śmierci kaleką. Dyrekcya nie uważała bynajmniej za swój obowiązek starać się o kolejarza, który w jej usługach uległ tak strasznemu wypadkowi. Przez dłuższy czas pobierał z początku tylko 21 cent. dziennie, potem podwyższono mu zapomogę do 42 cent., dopiero w końcu przyznano rentę przez czas choroby w wysokości 62 cent. Rozumie się, że zwłaszcza początkowa zapomoga była tak małą, iż nie mogła wystarczyć na tyle wydatków, jakie koniecznie wymagało leczenie się z tak ciężkiej choroby. Szczęściem Cefal miał oszczędności, poczynione jeszcze przed wstąpieniem do kolei i te go uratowały. Stracił jednakże wszystko co miał tj. około 500 złr. Nie dość jednak na tem. Skoro tylko wstał z łóżka, zaledwo mogąc się ruszyć, już dyrekcya czyhała na to, aby mu odebrać rentę i napędzić schorzałego do roboty. Naturalnie, że celem takiego postępowania było tylko to, aby chorego człowieka wydalić jak najprędzej ze służby. Najdzielniejszymi pomocnikami dyrekcyi w tej szlachetnej sprawie byli dr. Świątek, któremu to nie przeszkadza uważać się za dobrego chrześcijanina i być gorącym zwolennikiem „Przyjaźni“ i znany z nikczemnego postępowania naczelnik tutejszej stacyi p. Młynarski, pod którego kierunkiem stacya nasza stała się istotną mordownią ludzi. P. Młynarski posuwał swoją gorliwość tak daleko, że przedstawiał wszędzie ciężko chorego Cefala jako symulanta, aby tylko wymusić na lekarzach zeznanie, któreby go uwolniło od płacenia renty. Jednakowoż lekarze musieli go uznawać chorym, a p. Młynarski niezadowolenie swoje okazywał za każdym razem zonie Cefala przy wypłacie renty. Nareszcie po dwóch latach szykan, p. Młynarski zaprzestał z dn. 18 listop. r. b. wypłacać rentę Cefalowi, polecając wrócić mu do pracy. Nie pomogły przedstawienia i prośby nieszczęśliwego, że nie jest w stanie podjąć się tak ciężkiej roboty, — nie pozostaje mu więc dziś nic innego, jak ginąć z głodu lub wrócić do służby i zginąć z pracy. Ale dyrekcya nie dba o to, a zależy jej tylko na „oszczędzaniu“... Cóż się stanie z Cefalem, który jest dziś prawdziwym nędzarzem, bez żadnych widoków na przyszłość? Pomnoży on szereg tych, którzy w usługach państwa stracili zdrowie i nawet na starość nie mają gdzie złożyć zbolałych kości... I to jest cywilizowane państwo!? Czyż nie wstyd to i hańba dla takiego państwa, które miliony ma na wojsko, a pozostawia na bruku starców i chorych, co mu służyli wiernie, dopóki im sił starczyło?...

Dębica. Dnia 30 listopada zaszedł tu straszny w istocie wypadek. 26-letni robotnik stacyjny, Michał Farczałowicz, zginął wskutek nieludzkich wymagań pp. przełożonych. Było to w nocy, o godzinie drugiej; ciemności, których na naszej stacyi nic nie rozświetla, uniemożliwiły wprost wszelką robotę. A mimo to nieszczęśliwy Farczałowicz musiał w tym czasie właśnie pracować i ta nocna praca stała się przyczyną jego zguby. Robota jego polegała na wynoszeniu żużli z maszyn, a odbywała się nieraz wśród tak ciężkich warunków, że jedynie w dzień można się było ustrzedz wypadku. Tymczasem naczelnik ogrzewalni — na którego to w pierwszym rzędzie spada wina, wymagał od niego, aby i w nocy spełniał swoją czynność, a na kilka dni przed owym wypadkiem nałożył na niego nawet karę 60 ct. za to, że rozkazu nie posłuchał. Rozkaz przełożonego miał się stać dla biednego robotnika przyczyną nieszczęścia... Wyszedłszy owej nocy do roboty, Farczałowicz był zmuszony przechodzić torem, po którym kursowało kilka wagonów. Nieroz-prószone niczem ciemności nie pozwoliły mu jednakże spostrzedz najeżdżającego na niego wagonu. W chwili, gdy spełniał rozkaz przełożonego, jeden z kursujących wagonów uderzył go tak gwałtownie, że nieszczęśliwa ofiara na miejscu wyzionęła ducha. Oto skutki nocnej pracy na kolejach i to w takich warunkach! Któż teraz pomyśli o wdowie i nieszczęśliwem dziecięciu robotnika, który, jak żołnierz, poległ na stanowisku?...

Lwów. Wydarzył się tu niedawno okropny wypadek. Czterem robotnikom (kotlarzom) kazano wyczyścić kocioł parowy, komunikujący z drugim, będącym w czynności. Z powodu złego zamknięcia para dostała się do czyszczonego kotła i poparzyła w straszny sposób kotlarzy Güttera, Przybułkę Jana, Kulpę Jana i Modela Fryderyka. Trzej pierwsi mieli liczne rodziny, Gütter był nawet ojcem 6 dzieci, które z powodu wypadku narażone są na głód i nędzę. Pogrzeb czterech nieszczęśliwych ofiar odbył się we czwartek 2 grudnia. A chociaż nie wszyscy zmarli byli towarzyszami partyjnymi, to przecież socyalno-demokratyczni robotnicy pospieszyli tłumnie na uczczenie ofiar pracy, a na ich grobie przemawiał — pomimo przeciwnych zabiegów Jezuitów — poseł Kozakiewicz, żegnając ich, jako ofiary molocha kapitalizmu, które wepchnęli do grobu przełożeni. Kto bowiem winien w tej sprawie? Może władza kolejowa, a zwłaszcza p. Drewnowski, jest zdania, że nikt tu nie zawinił, — my musimy wyrazić inny sąd o całem tem zdarzeniu. Najlepszym dowodem, że nie był to „nieunikniony“ wypadek, jest to, iż Gertler zwracał uwagę werkfirerowi Kraczyle na niedokładne zamknięcie ogrzewanego kotła. Ale p. Kraczyło uważa nadzór swój nad przeznaczonemi sobie robotami za zajęcie uboczne: głównem jego zadaniem jest śledzenie robotników na każdym kroku, ciągła chęć złapania ich „na gorącym uczynku“ i—bardzo poufne, ścisłe znoszenie się w wielu sprawach z swoim wielkim opiekunem p. Drewnowskim. Szpiclowski system Drewnowskiego był i w tym wypadku czynny i objawił się w najsmutniejszych skutkach. Gdybyż tak p. Drewnowski, zamiast zajmować się „nawracaniem“ robotników, pilnował swoich obowiązków i ściślej wykonywał nadzór nad tem, nad czem ma powierzona sobie pieczę... Ale p. Drewnowski woli bawić się w agitatora, a za jego przykładem idą jego najbliżsi podwładni: i dlatego p. Kraczyło woli grać rolę pomocnika agitatorskiego, niż pilnować kotłów. A ostatecznie ofiarami tych zabawek stają się ludzie, którzy istotnie sumiennie spełniają swoje czynności i wskutek swojej sumienności tracą zdrowie, wpadają w nędzę na starość, a nawet ponoszą śmierć... Za poprzedników p. Drewnowskiego, którzy obowiązki naczelnika warsztatów pojmowali trochę inaczej, nie było u nas takich wypadków. Dziś są one prawie że na porządku dziennym, a zwiększająca się liczba ofiar nie zdołała dotąd skłonić Drewnowskiego i jego zauszników do baczniejszego przestrzegania porządku. Może wreszcie te nowe cztery ofiary, może te nowe rodziny, zostające dziś pod groźbą nędzy i ruiny, poskromią wreszcie ich agitatorsko-szpiclowską manię i przypomną im ich właściwe stanowiska. W każdym razie od dyrekcyi lwowskiej domagamy się, aby nie czekała na to samowolne nawrócenie p. Drewnowskiego, ale zechciała użyć wobec niego władzy, o którą w tak wielu innych wypadkach nie daje się długo prosić.

KRONIKA.

W sprawie wyborów wydziałowych i zastępców do zarządu Zakładu ubezpieczeń wzywamy raz jeszcze wszystkich kolejarzy, pracujących w obrębie dyrekcyi lwowskiej i stanisławowskiej, aby nadesłali do naszej redakcyi nazwiska kandydatów. Rzecz wymaga pospiechu i dla tego zwracamy uwagę towarzyszy, aby z gorliwością godną sprawy, zabrali się do jak najszybszego załatwienia tej bardzo dla nas ważnej kwestyi. Kolejarze z pod dyrekcyi krakowskiej uczynili już zadość naszemu wezwaniu i po porozumieniu się z nimi, polecamy gorąco wszystkim, pracującym w obrębie tej dyrekcyi, aby oddali głosy swoje na jedynych robotniczych kandydatów, którymi są: *Marcin Klein*, nadkonduktor jako wydziałowy i *Władysław Załęża*, podmajstrzy (werkmann), jako zastępca, obaj z Nowego Sącza. — Termin wyborów jeszcze nieznany, ale kto pragnie, aby nasi kandydaci uzyskali większość, musi już dziś agitować na ich rzecz, musi już dzisiaj zabrać się na serio do roboty.

Upadek gabinetu Badeniego. Czego mogą kolejarze spodziewać się po nowem ministerstwie? Oto tytuł nowej broszurki dla kolejarzy austryackich, wydanej nakładem „Eisenbahnera“. Przedstawiona w niej krótko i zwięźle historya ministerstwa Badeniego, ostatnie wypadki w parlamencie, a wreszcie poruszone są pytania: co będzie teraz? i czego mają domagać się kolejarze? Dla towarzyszy, znających język niemiecki, broszurka ta będzie doskonałem wyjaśnieniem wielu kwestyj, które wśród chaosu dni ostatnich mogły się stać zawikłanemi. Pytanie, czego my, kolejarze, mamy teraz żądać po upadku naszego wroga i ciemięzcy, jest tak ważnem, że już samo poruszenie jego w owej broszurce powinno zachęcić nas do czytania. Cena broszurki 6 ct. Zamawiać należy wprost w księgarni Branda w Wiedniu (Erste Wiener Volksbuchhandlung, Wien VI Gumpendorferstrasse 8). W razie większej ilości zamówień redakcya „Kuryera“ będzie chętnie pośredniczyła w nabyciu książeczki.

Zasadnicze rozstrzygnięcie sądu rozjemczego zawodowego zakładu ubezpieczeń austr. kolei. N. N., adjunkt c. k. kolei państwowych uległ niedawno wypadkowi, a zakład ubezpieczeń obliczył zarobek roczny podług płacy, kwaterowego i połowy dyet. Adjunkt oskarżył jednak zakład o poprawę obliczenia, żądając wliczenia całej sumy dyet. Sprawa poszła pod orzeczenie sądu rozjemczego, a ten, po wysłuchaniu obu stron, orzekł, iż żądanie adjunkta jest słuszne i że do zarobku rocznego należy wliczać całą ilość rocznych dyet. Na to zasadnicze, jedyne dotąd w swoim rodzaju orzeczenie, zwracamy uwagę naszych czytelników.

Proces Ehrenberga skończył się dnia 4 grudnia. Tow. Kaczanowski, który wymierzył Ehrenbergowi dwa policzki, został w zupełności uwolniony. Również uwolnieni zostali tow. Teller i Zaczyński, główni oskarżeni o zbrodnię gwałtu publicznego. Dwaj pozostali, ekspres Babraj i wyrobnik Koziarczyk, zostali skazani pierwszy na 3, drugi na 2 miesiące więzienia. Wyrok ten był najlepszym dowodem, jak uzasadnionem było całe oskarżenie i jak zasłużonym był blisko miesięczny areszt śledczy, który musiał przebyć tow. Kaczanowski. Dwaj skazani zgłosili zażalenie nieważności i należy się spodziewać, że zostanie ono uwzględnione. Zbrodnia gwałtu, popełniona na osobie Ehrenberga, okazała się fikcyjną. Spoliczkowany rzezimieszek długo jeszcze biadał nad niesprawiedliwością losu i sądów...

Sascy robotnicy kolejowi wnieśli w początkowych dniach grudnia petycyę do sejmu krajowego, podpisaną przez 8094 nazwisk robotników, pracujących na 148 różnych stacyach. Robotnicy proszą w tej petycyi o zniżenie czasu pracy na ośm godzin i przerwę w pracy co trzecią niedzielę. Teraz robotnicy ci pracują przeciętnie 84 godzin tygodniowo. Płaca początkowa ma być podwyższona z 2 m. 30 fen. na 2 m. 50 fen. dziennie (tj. 1 złr. 35 ct. na 1 złr. 50 ct.). Po pięciu latach płaca ta ma podnieść się do 3 marek, a począwszy odtąd podwyższać się dalej przez dwuletni dodatek 10 fen. dziennie aż do najwyższej granicy 3 marek 50 fen. Obecnie najwyższa ta granica wynosi po 10 latach 2 marki 80 fen. Dalej żądają zrównania wszystkich robotników w obrębie wymienionych wyżej granic płacy. Również żąda się, aby ubiór służbowy dostarczany był przez zarządy. Jako bardzo uzasadnione żądanie należy też uważać prośbę, wyrażoną w petycyi, aby robotnicy mieli raz w roku pięć dni z rzędu wolnych. W końcu petenci wyrażają życzenia, aby robotnicy podlegali wprost dyrekcyi generalnej, a nie, jak jest dotychczas, aby każdy naczelnik stacyi miał zupełnie samoistne prawo rządzenia. — Jak widzimy, żądania wcale nie przesadnie wygórowane. A mimo to okazało się już podczas obrad nad budżetem, że jedynie socyalno-demokratyczni posłowie wystąpili w obronie pełnego zadośćuczynienia petycyi. Rząd i wszystkie inne stronnictwa mają już z góry uprzedzenie do wszystkiego, co pochodzi od robotników.

Towarzysze! Kolejarze! Prosimy Was o nadsyłanie nam wszelkich wiadomości ze stosunków kolejowych do umieszczenia w „Kuryerze“. Obowiązkiem Waszym jest donosić nam o każdem nadużyciu władzy, o każdym wybryku przełożonych, abyśmy mogli te wszystkie postępki oddać pod pręgierz opinii publicznej. Nie bójcie się żadnych sekatur i prześladowań ze strony tych, których napiętnujemy w naszem piśmie. Za wszystko odpowiada redakcya, a wy tylko, towarzysze, powinniście donosić prawdziwe fakty i podpisać się na liście. Nie możemy bowiem przyjmować listów anonimowych, gdyż nie dają one rękojmi, że podane w liście wypadki, są prawdziwe. Nazwisko towarzysza, który do nas pisze, pozostaje tajemnicą redakcyi, nie ma więc najmniejszej obawy, aby się nie dostało do wiadomości władzy.

Bezpłatnej porady prawnej udziela się w redakcyi „Naprzodu“ zorganizowanym towarzyszom we wtorki, piątki i niedziele od godziny 11 do 1 w południe, a nadto w każdy wtorek i piątek od godziny 7 do 9 wieczorem.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Jan Englisch. Drukiem A. Słomskiego w Krakowie.